

POLSKIE TOWARZYSTWO ORIENTALISTYCZNE

# PRZEGLĄD ORIENTALISTYCZNY

*Kwartalnik*



Nr 1 (5)

WARSZAWA

1953

PANSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE





## SPIS TREŚCI

|                              |      |
|------------------------------|------|
| <b>Józef Stalin nie żyje</b> | str. |
| Od Redakcji                  | 7    |

### ARTYKUŁY I UTWORY LITERACKIE

|  |    |
|--|----|
| N. I. Konrad, <i>O nauczaniu języków wschodnich</i> (przekład z rosyjskiego W. Jabłońskiego) | 9  |
| T. Szafar — <i>Ruch narodowo-wyzwoleńczy w Iranie</i>  | 19 |
| Liu-Pai-ju, <i>O szóstej rano</i> (przekł. z chińskiego H. Smisniewicz)                      | 29 |
| Omer Seyfettin, <i>Dla dobra kraju</i> (przekł. z tureckiego St. Płaskowicka-Rymkiewicz)     | 38 |
| Akutagawa Ryūnosuke, <i>Pajęcza nić</i> (przekł. z japońskiego W. Kotański)                  | 44 |

### MATERIAŁY I NOTATKI

|  |    |
|--|----|
| S. Strelcyn, <i>Katalog rękopisów orientalnych</i> | 48 |
|--|----|

### RECENZJE

|  |    |
|--|----|
| Literatura wschodu w Polsce:   |    |
| O. Wojtasiewicz, <i>Przekłady z literatury chińskiej</i>               | 55 |
| J. Reychman, <i>Nowe przekłady tureckiej literatury w Polsce</i>       | 57 |
| Z książek:   |    |
| J. Halicki, <i>Tadeusz Andrzejewski, Księga umarłych Piastunki Kai</i> | 62 |
| Z czasopism  | 63 |

### KRONIKA

|  |    |
|--|----|
| Z ruchu naukowego na polu orientalistyki:  |    |
| Rocznica Avicenny w Polsce   | 65 |
| Komitet orientalistyczny PAN   | 65 |
| Magisteria z zakresu orientalistyki na wyższych uczelniach polskich w latach 1947 — 1952 | 66 |

\*

Rysunek na okładce przedstawia współczesną wycinankę chińską



## O SZÓSTEJ RANO

W południowych Chinach zaczynała się już pora deszczów. Oddziały nasze, maszerujące ku granicy ostatniej prowincji, w pościgu za nieprzyjacielem już dwa pełne dni szły bez wypoczynku. Teraz, gdy zapadała noc, musieliśmy rozbijać obóz na deszczu.

Dwa tygodnie temu, po bitwie, dowódca batalionu Szen Kuej-liang oddał swój płaszcz od deszczu, by przykryć nim rannego ordynansa. Teraz, zarzuciwszy na ramiona kawał zielonej ceraty, poszedł doglądać rozbijania obozu. Pomógł żołnierzom wyszukać odpowiednie miejsce, huknął na próżniaków, którzy starali się zdrzemnąć chwilkę pod wielkimi drzewami, pokierował kopaniem rowów i rozstawieniem namiotów.

— Popatrz no, jak tu na południu łatwo jest walczyć. Wystarczy tylko karabin i kawał ceraty! — z twarzą ociekającą wodą zwrócił się wesóło do dowódcy pierwszej kompanii.

Dowódca kompanii, nie przestając ocierać swojej mokrej twarzy, wymamrotał:

— Dobrze jest, jak jest... Prędzej zamieszkam na stałe w domu zbudowanym po europejsku.

Ten mieszkaniec północy ani rusz nie mógł przywyknąć do tego nie kończącego się deszczu i nieustannego taplania bosymi stopami w błocie.

— Co?... Towarzyszu Czen Min-ho, czy to nie wyście uskarżali się na nudę w mieście?

Czen zorientował się z tonu, że jego zwierzchnik nie żartuje, zasalutował więc, odwrócił się i odszedł chlapiąc błotem.

Szen Kuej-liang śledził go wzrokiem. Wiedział, że Czen niesie w kieszeni marynarki medal za dzielność, owinięty w skrawek „Dziennika Północno-Wschodniego”. Czen był typem żołnierza, dla którego bezczynność była czymś nie do zniesienia i który nieustannie był z czegoś niezadowolony. Przed walką jednak stawał się zupełnie innym człowiekiem — jego ciało, całe pokryte ranami, było tego żywym świadectwem. „Jest jednak w jego wyglądzie coś, co niepokoi”, pomyślał Szen.

Batalion już się rozlokował. Szen skończył obchód, potem wpełznął do swojego namiotu. Ordynans rozpałił niewielki ogień, by wysuszyć jego ubranie, Szen zaś wyciągnął z plecaka książkę i zasiadłszy przy ognisku zaczął czytać. Ordynans, któremu niedawno dopiero przydzielono tę funkcję, nie znał zupełnie upodobań swego zwierzchnika.



— Nie zmrzyliście oka przez dwie doby — odezwał się nieśmiało. Szen uśmiechnął się tylko i czytał dalej. Była to książka o służbie pomocniczej na froncie, napisana dla Armii Czerwonej Związku Radzieckiego. Więcej niż dziesięć dni nosił ją już ze sobą, wyłapując pojedyncze chwile, by przeczytać kilka kartek, a krył głęboko w kieszeni, gdy armaty zaczynały grzmieć. Sądził, że skończy ją teraz, nim znów rozpocznie się akcja. Ordynans był jednak gadatliwym towarzyszem.

— Wyszukałem — mówił — towarzyszu komendancie, odpowiednie miejsce na kwatery dla waszego batalionu, ale wyrzucili nas ludzie ze sztabu dywizji.

— Dlaczego? — ze zdziwieniem spytał Szen.

— Dowódca czwartego batalionu powiedział, że nie mogli znaleźć domu na kwatery sztabu dywizji. A przecież jeżeli sztab dywizji musi mieć swoje biura, dlaczego batalion nie mógłby ich mieć?

— A jak wam się zdaje, towarzyszu, w jaki sposób moglibyśmy prowadzić walkę, gdyby sztab dywizji nie miał gdzie zainstalować aparatów radiowych czy rozwiesić map? Nie można być takim drażliwym! Zdarzy się tak, że nasza kwatera będzie w rowie, i jeszcze się jakoś urządzimy.

Słychać było, jak ktoś szedł rozpryskując błoto. Wścibski ordynans wytknął głowę i zapytał:

— Kto tam?

Cień się zatrzymał, dał się słyszeć pytający głos:

— A tu kto?

— Dowódca batalionu — z godnością odpowiedział ordynans.

Szen, poznawszy głos dowódcy dywizji, powitał go przyjaźnie.

— A to wy, towarzyszu Szen Kuej-liang. Rozgospodarowaliście się na świeżym powietrzu. Wygląda tak, jakbyśmy wdarli się na wasze terytorium, nieładnie to z naszej strony, co? — spytał żartobliwie.

Stosunek między nimi był nie tylko stosunkiem zwierzchnika i podwładnego. Szen w bitwie pod Sepingkai w lecie 1947 roku uratował życie dowódcy, który z kolei pomógł Szenowi wydobyć się potem z trudności. Było to przed ostatnim atakiem na Sepingkai, który zakończył się oswobodzeniem miasta. Szen, spierając się z dowódcą pułku, z uporem odmawiał dowodzenia jednostką artylerii. Utrzymywał, że sprawi ona raczej kłopot aniżeli da pomoc w ataku, bo jeśli pozycja artylerii wyznaczony jest zbyt daleko od linii frontu, straci się możliwość dowodzenia nią, jeśli zaś zbyt blisko, to ryzykuje się jej stratę. Twierdził, że nie czuje się na siłach do przyjęcia takiej odpowiedzialności. Dowódca pułku złościł się i zarzucał mu zacofanie i konserwatyzm.

Tymczasem Szen, niewzruszony tym, trwał wciąż nieruchomo przypnięty na ziemi ćmiąc papierosa. Na tę scenę wszedł dowódca dywizji. Był to mężczyzna drobnej budowy, nosił ciemne wąsy i miał dobre, a jednocześnie przenikliwe oczy. W czasie walki potrafił się przechadzać zu-



pełnie sam wzdłuż linii frontu krokiem raz szybkim, raz wolnym, a mimo tego nigdy nie był ranny. Słyszając nad sobą gwizd granatu, chwilę za nim popatrzył, przysłuchał się uważnie i szedł dalej. Innym dodawał odwagi swoim spokojem. Gdy spostrzegł, że ktoś zdradza przestach w czasie walki, zabierał go ze sobą na obchód i leczył z lęku. Kochany był przez wszystkich podkomendnych. „Nikt nie może uważać się za dobrego żołnierza — mówiono — dopóki nie nauczy się poruszać tak jak on”.



— Dowódco pierwszego batalionu — odezwał się wówczas — weźcie waszą jednostkę, pójdę z wami.

Gdy szli, ciągnął dalej:

— W partyzantce mieliśmy do dyspozycji tylko miny i tunele, by walczyć na tyłach Japończyków. Ciężko było, co?

— Tak, wtedy było ciężko — potwierdził Szen.

— Ileż to razy słyszeliście, jak ludzie mówili, a i samiście też myśleli, żeby tak tylko móc zaprawić ich granatami! A teraz, gdy otrzymaliście własną artylerię, dlaczego nie urządźcie im piekła? Boicie się, że wróg zdobędzie nasze armaty? Wy się nie lękacie wystawić siebie na armatni ogień, a potraficie stać spokojnie i patrzeć, jak wasi towarzysze padają od amerykańskich granatów?

Osobiście wtedy pomógł Szenowi ustalić pozycje artylerii polowej i ciężkich dział, wydawać rozkazy, uczył, jak kłaść krzyżowy ogień



i ustalać sygnały łączności. Osiągnięto zwycięstwo — Sepingkai zostało zdobyte.

Po bitwie, gdy Szen Kuej-liang zajmował się gromadzeniem zdobyczy wojennej, udał się w pewnym momencie do dowódcy dywizji, który powitał go słowami.

— No i cóż, straciliście swoją artylerię?

Szen stanął na baczność, a twarz jego pokryła się rumieńcem. Dowódca dywizji poklepał go po ramieniu i uśmiechając się powiedział:

— Te wasze zacofane poglądy to poważne zmartwienie. Przez to pozostajecie w tyle za innymi. To niebezpieczne, nie można partii służyć w ten sposób.

Po tym napomnieniu Szen zabrał się do poważnych studiów taktyki politycznej i wojskowej. I wkrótce zaczął wyróżniać się jako jeden z najlepszych dowódców w pułku. Stał się specjalistą w kierowaniu akcją współdziałania piechoty i artylerii. Stale podkreślał, że to dowódca dywizji wy dobył go z trudności.

Teraz dowódca dywizji podniecony chwycił Szena za rękę:

— Chodź — pociągnął go za sobą — dowiesz się, co się stało.

Weszli do wnętrza małej szopy. Była to kwatera główna, zavalona odbiornikami radiowymi, zapasami medykamentów, sprzętem elektro-technicznym i tak zatłoczona ludźmi, że z trudem tylko można się było precyzyjnie. Pociągnięty do stołu przez dowódcę dywizji, dostrzegł Szen komisarza politycznego, szefa sztabu i kilku cywilów z dziećmi — prawdopodobnie właścicieli tamtych krytych słomianą strzechą chat.

Wszyscy przysłuchiwali się uważnie burzy dźwięków wydobywających się ze stojącego na stole amerykańskiego radioodbiornika, nazywanego paczką żywnościową, jak sobie życzył tego dowódca. Szen nie mógł się początkowo zorientować, czy to był czyjś śpiew czy jakieś okrzyki. Patrzył pytająco na dowódcę. Ten kiwał tylko palcem wskazując radio. Teraz Szen już wiedział — to były owacje. Nagle ponad dźwięki tej radosnej wrzawy wybił się głos silny i energiczny, pozdrawiający wiwatujące masy krótkim „Hurra, towarzysze, hurra!”

— To przewodniczący Mao! — wyjaśnił szybko komisarz polityczny. I wszystko znów zatęchło w powodzi radosnych okrzyków.

Komisarz brał udział w 1946 roku w walkach politycznych jako członek Komitetu Rozjemczego. Teraz pochwyił rękę Szena krzycząc:

— Chińska Republika Ludowa została proklamowana! Nareszcie zwyciężyliśmy!

— A gdzie są amerykańscy członkowie waszego komitetu? — spytał komisarza dowódca dywizji. — Niech się dowiedzą! A gdzie są trumanowskie granaty, eh?

Szen słuchał do końca, aż do ostatnich słów przewodniczącego Mao:



— Towarzysze, za nami pozostał długi dzień! Zebranie skończone!

Na dworze przestało padać. Niebo usiane było gwiazdami. Szen wyszedł. Po błocie tam i z powrotem przechadzał się dowódca dywizji. Szen tak był pochłonięty tym, co usłyszał przez radio, że nie spostrzegł jego wyjścia. Zdawało się, że jest głęboko pogrążony w myślach. Szen postanowił nie zaczepiać go i przejść spokojnie na swoją kwaterę, gdy nagle dowódca odwrócił się i spytał:

— Dowódco pierwszego batalionu, czy wy pojmujecie, co oznacza nasze zwycięstwo? — Szen był zupełnie zaskoczony, taka przepełniała go radość, tak był podniecony wiadomościami radiowymi, że w jego umyśle nie było miejsca na inne myśli. Staął jak oniemiały.

— Musicie pomyśleć o tym, rozważyć, zrozumieć, co to znaczy.

W tym momencie szef sztabu zawołał:

— 305 (było to przezwisko dowódcy dywizji), 305, goniec przyszedł!

Dowódca zawrócił i szybko wszedł do szopy. Szen pozostał sam.

Gdy wrócił do namiotu, ogień już wygasł. Po chwili położył się. Spać nie mógł, był zbyt podniecony i niespokojny. Zerwał się i wybiegł poszukać kogoś, z kim by mógł porozmawiać. Wrócił jednak z powrotem — wszyscy spali. Gdyby tak mógł być z nim ranny teraz instruktor polityczny! Szen leżał w ciemności myśląc o nim i śmiał się do siebie na wspomnienie jego młodzieńczej, szeroko uśmiechniętej twarzy. Dobry był z niego żołnierz! No, miał oczywiście swoje wady — podobnie jak Szen nie mógł znieść bezczynności, z reguły dwa razy na miesiąc kierował do swego zwierzchnika prośbę, by zwolnił go z pracy politycznej i przeniósł do służby liniowej. W końcu komisarz pułku przestał nawet czytać te stale powtarzające się prośby. Instruktor polityczny stopniowo jednak zmienił swoje nastawienie, a skutkiem jego pracy batalion zdobył wiosną 1948 roku nazwę Batalionu Bohaterów Walki, a nawet nazwę Batalionu Wzorowego Politycznie. Szen leżał rozmyślając, gdy w pewnej chwili pod jego namiotem rozbłysło światło — ordynans wzywał go na zebranie.

Zmieniła się sytuacja na froncie. Poprzednio przekroczenie granicy prowincji planowano na dzień następny, ale po dwóch dniach marszu w błotnistym terenie w pogoni za wrogiem dowódca zarządził odpoczynek przed nowym zadaniem. Przed granicą prowincji była rzeka; most na niej był pod kontrolą nieprzyjaciela. Najnowszy raport wywiadu donosił, że po stronie nieprzyjaciela rozpoczął się jakiś ruch na wielką skalę — prawdopodobnie przygotowywano wysadzenie mostu. Dowódca dywizji zdecydował się nie czekać na instrukcje dowództwa armii, lecz wysłać natychmiast batalion z rozkazem zdobycia mostu. O szóstej rano dnia następnego Szen miał zająć most. W dwadzieścia minut później cały batalion, któremu tymczasem przekazana została wielka nowina o utworzeniu Chińskiej Republiki Ludowej, posuwał się wzdłuż ciemnych górskich ścieżek.



Szen rozważał w drodze słabe i silne strony swego batalionu. Był przekonany, że jego ludzie chcą walczyć z wrogiem. Czy gnębiły go jakieś nowe problemy? Przypomniał sobie, jak w początkach kontrofensywy na północnym wschodzie musiał zwalczać pewne chłopskie tendencje, głoszące konieczność niszczenia miast. Pokonał to nastawienie. A teraz? Przed dwoma tygodniami batalion stacjonował w mieście liczącym około stu tysięcy mieszkańców. Czyżby zmienili nastawienie? W tej chwili przyszło mu na myśl zdanie, które wypowiedział dowódca kompanii: „Prędzej zamieszkać w domu budowanym po europejsku”. Takie nastawienie mogło się szerzyć. Czyż nie mówił o tym dowódca dywizji w swoim przemówieniu o pracy garnizonu w mieście?

„Nie jest łatwo, towarzysze, siedząc na wygodnej kanapie zachować proletariacką myśl. Zwyciężyliśmy, teraz musimy przejść przez wiele miast, a kierować nami powinny zasady proletariackie. Zwycięstwo jest dla każdego z nas próbą ideologiczną”.

Co więc mogło znaczyć jego pytanie.

„Czy wiecie, co rzeczywiście znaczy nasze zwycięstwo?“, zastanawiał się Szen. Odwrócił się, by spojrzeć na dowódcę pierwszej kompanii.

— Czen! — krzyknął w ciemność.

— Jestem, towarzyszu dowódco.

Szen zobaczył, jak z ciemności wyłonił się Czen obładowany czterema czy pięcioma karabinami, które niósł, by ulżyć swym ludziom.

— Za ciężko ci, oddaj mi jeden albo dwa. Nie zapominaj, że jutro musisz poprowadzić ludzi do walki.

— Dzisiejszy dzień nie jest taki jak inne, od chwili gdy proklamowano Republikę Ludową, czuję, że mógłbym nieść i dwanaście karabinów bez wysiłku! — wykrzyknął Czen.

— Czy pamiętacie, komendancie, jakeśmy po raz pierwszy ewakuowali Sepingkai? Tak, to było w 1946 roku, płakałeś wtedy, gdy nakazano nam odwrót.

— Żołnierz rewolucji przelewa krew, nie łzy. Wtedy łzy nie zdały się na nic.

— Nic nigdy nie dzieje się na próżno. Coś z wami dziś niedobrze, Czen?

— Wiem, powiedziałem coś, co wam się nie podobało — odezwał się Czen.

— Nie chodzi o to, czy mnie się podobało, czy nie. To jest sprawa poglądów.

— A czyż wy nie sądzicie, że dom w stylu europejskim jest lepszy od obozowania na świeżym powietrzu? Ja tam nigdy nie miałem na własność domu w zachodnim stylu, chlewa nawet nie miałem... Sepingkai nie było złe... Tak, to było w 1946 roku. Powiedziałem sobie wtedy — utrzymamy to miasto. Jest nasze i nie pozwolimy go sobie odebrać. Potem, gdy



zaczął się atak, już więcej tak nie myślałem. A czy wy pamiętacie, co powiedział ten stary robotnik tam na moście na rzece Huai?

Szen przypomniał sobie chwile, gdy ataki szły na południe wzdłuż linii kolei Pekin-Hankou. Musieli przekroczyć rzekę, ale wielki żelazny most na rzece został wysadzony w powietrze, a olbrzymie płomienie ognia, które go otaczały, wzbijały się wysoko do nieba. W chwili gdy Szen zbliżył się do rzeki, dym był gęsty jakby z rozwalonego pieca. Nieprzyjaciel uciekł. Nagle spostrzegł nad brzegiem rzeki starego człowieka. Stał bez ruchu. Jego oczy wpatrzone w most były pełne łez. Podeszli dowódca pierwszej i drugiej kompanii, instruktor polityczny i kilku żołnierzy, zagadali do starego.

Zarządzał małym warsztatem na linii kolei Pekin-Hankou, pracował tam od chwili, gdy ją zbudowano, mając dozór nad drogą i reperacją mostu. Tylko jeden raz myślał o tym, by wysadzić most... Było to wtedy, gdy przyszli Japończycy. Nie mógł się jednak zmusić do tego, ukrył narzędzia i uciekł. Gdy opowiadał tamte dzieje, łzy spływały mu po policzkach. Zrozpaczony, z rumieńcem na twarzy, Szen pochwycił jego rękę.

— Towarzyszu, przyszedliśmy za późno, to nasza wina! — powiedział. Czen przerwał tok jego myśli.

— Co powiedział ten stary człowiek?

— On powiedział: „Musicie wykonać dla mnie to zadanie”.

— Tak, komendancie. Musimy je wykonać. — Głos mu drżał, gdy mówił dalej prawie błagalnym tonem.

— Dziś, komendancie, nie możemy przyjść za późno!

Nagle usłyszano czyjś wesoły śmiech i ktoś pochwycił Szena za rękę.

— Stary Li, stary Li! — łapiąc i mocno przytrzymując rękę instruktora politycznego wykrzyknął Szen.

— Puść mnie, puść mnie, ranę mi jątrzysz! — powiedział Li. Szen zwolnił uścisk.

— Po coś przyszedł, nie jest z tobą jeszcze zbyt dobrze. Li, czy ty wiesz, dziś...

— Tak, dowódca dywizji powiedział mi wszystko. Namęczyłem się, zanim cię znalazłem. Łatwo się mnie nie pozbędziesz.

Szen uśmiechnął się do siebie w ciemności i pomyślał o swoich poprzednich wątpliwościach. Czy ma za co ganić dowódcę pierwszego oddziału? Jesteśmy wszyscy jednakowi. Umiemy cierpieć i ponosić ofiary. Mamy czasem własne kłopoty, ale sprawy osobiste są zawsze ostateczne i podporządkowane sprawie rewolucji.

Dwaj towarzysze wyprzedzili go z lekka, nagle obaj wydali okrzyk przestrawienia. Szen rzucił się naprzód i poprzez ciemność dostrzegł szalejący ogień. Zawrócił i krzyknął do swoich ludzi:



— Nieprzyjaciół podłożył ogień pod most! Naprzód! Naprzód! Na most!

Czen Min-ho, pochwywszy czerwoną flagę, popędził przez głogi w dół ze wzgórza ku rzece. Ludzie pędzili za nim po skałach, poprzez drzewa i krzaki. Szen przybiegł nad brzeg razem ze swoimi. Spostrzegł, że dopiero zaczynało się palić. Konstrukcja mostu była jeszcze cała. Na przedzie zauważył hagle dowódcę kompanii, pędzącego z czerwoną flagą w kierunku mostu. Za chwilę był już na moście wśród płomieni.

W tym momencie po drugiej stronie zaczęło się trzaskanie zamków karabinów maszynowych. Szen wyrwał jednemu z żołnierzy lekki karabin maszynowy i rzuciwszy się na ziemię zaczął strzelać, by osłonić atak swoich ludzi. Prawie jednocześnie gdzieś poza nim zaczął strzelać drugi karabin. Uniósł głowę. Postaci dowódcy kompanii nie mógł dostrzec, widział tylko sylwetki niknących na moście. W pewnej chwili jedna z nich stanęła, zachwiała się lekko i runęła z mostu w szalejącą rzekę. Szen zacisnął zęby i strzelał dalej. Wkrótce strzelanina ustała. Żołnierze zaczęli gasić ogień. Szen podniósł się z czegoś, co — jak spostrzegł dopiero teraz — było bajorkiem błotnistej wody. Cały nią ociekał, ale śmiał się szczęśliwy.

Odwrócił się i zobaczył obok siebie instruktora politycznego. To on strzelał z drugiego karabinu za nim. Obaj poszli w kierunku mostu. Część wody pod mostem nie była szeroka, lecz miała prąd bystry i silny. Na środku mostu Szen zatrzymał się nagle, spojrzał w dół na kłębiące się wody, widoczne w migotliwym świetle gasnącego ognia. Nie wiedział, kto tam wpadł, lecz pomyślał: „Towarzyszu, zginąłeś śmiercią bohatera!”

Nagle instruktor polityczny wyjął małe metalowe pudełko z tuszem.— Pierwszy oddział pierwszego batalionu dywizji N zdobył ten most 1 października 1949 roku — i szybkimi ruchami pędzelka wypisał te słowa na filarze mostu.

Ukazały się pierwsze mdłe blaski świtu. Ludzie znów się zeszli.

Szen nie pozwolił im zatrzymać się na wypoczynek. Przynagłał do marszu w kierunku granicy prowincji. Słońce już wzeszło, a oni wspinali się jeszcze na wzgórza w pościgu za nieprzyjacielem. Pierwsze promienie przedzierały się przez gęsto rosnące na wzgórzach bambusy i sosny. Wspiąwszy się na szczyt Szen przystanął. Szczęśliwy, patrzył na otaczającą go okolicę. Poranne powietrze południa było rozkosznie świeże. Skrawki ryżowych pól, rozciągających się w dali, zdawały się poruszać w porannym wietrze. Drzewa mieniły się w słońcu. Nagle dał się słyszeć odgłos galopujących kopyt końskich. W chwilę potem dowódca dywizji zeskoczył z konia i znalazł się wśród żołnierzy. Szedł wolno w kierunku dowódcy batalionu, który zdumiony odwrócił się i zasalutował.



Wskazując na teren pod swoimi stopami dowódca powiedział:

— Towarzyszu Szen Kuej-liang, powiedzcie wszystkim ludziom, że tu jest granica prowincji. Ostatnia granica prowincji!

Oczy dowódcy batalionu, zdziwione i zachwycone, zajaśniały radością.

— Komendancie! — krzyknął. — Wykonaliśmy nasze zadanie!

Dowódca dywizji nie powiedział nic. Spojrzał na niego marszcząc brwi. Szesnaście czy siedemnaście lat temu jako członek Ligi Młodych Komunistów walczył w tych okolicach w partyzantce. Jego dom leżał niedaleko stąd.

Spojrzał potem na zegarek i powiedział jakby do siebie:

— Szósta godzina. Zwycięstwo o szóstej.

Zwrócił się do dowódcy batalionu:

— Nie możemy się zatrzymać. Maszerujemy dalej!

Przełożyła z chińskiego

*Halina Smisiewicz*



OMER SEYFETTIN  
(1884—1920)

## DLA DOBRA KRAJU

Omer Seyfettin urodził się w Göncu koło Pandermy. Studiował początkowo w średniej szkole wojskowej (*Askerii idadisi*) w Adrianopolu, a potem w szkole wojennej (*Mekteb-i Harbiye*) w Stambule. W okresie 1903 — 1908 przebywał w Smyrnie. W tym czasie zaczyna pisać nowele i wiersze. W 1910 roku występuje z wojska, wyjeżdża do Salonik i tam rozpoczyna pracę w czasopismach „Rumeli” i „Genç Kalemler” (1911). Na łamach tych pism umieszcza swe pierwsze artykuły o języku tureckim, broniące jego prostoty, a walczące z jego sztucznością.

W okresie wojny bałkańskiej wstępuje znowu do wojska, dostaje się do niewoli, rok przebywa w Grecji, a po powrocie do Stambułu porzuca wojsko na zawsze i zaczyna pisać artykuły do gazet i czasopism, czym zarabia na życie. W r. 1914 zostaje nauczycielem w Kabataş Lisesi.

W czasie pierwszej wojny światowej rozpoczyna współpracę (1917) z wydawanym przez Ziya Gökalpa czasopismem „Yeni Mecmua”, gdzie co tydzień drukuje swe nowele, którymi zdobywa sobie sławę. Omer Seyfettin zmarł w Stambule w 1920 roku.

Nowele jego wyszły w następujących tomach:

1. *Ilk düşün ak* (1938) (Pierwsza siwizna)
  2. *Yüksek ökçeler* (1938) (Wysokie obcasy)
  3. *Bomba* (1938) (Bomba)
  4. *Gizli Mabet* (1938) (Tajemnicza świątynia)
  5. *Asilzadeler* (1938) (Arystokraci)
  6. *Bahar ve kelebekler* (1938) (Wiosna i motyle)
  7. *Beyaz lale* (1938) (Białe tulipany)
  8. *Mahcupluk imtihani* (1938) (Egzamin nieśmiałości)
  9. *Tarih ezeli bir tekerrürdür* (1938) (Historia się powtarza)
- i ten sam zbiór wydany w 1943 r. pt. *Dalga* (Fala).

Omer Seyfettin zajmuje jedno z głównych miejsc w nowej literaturze tureckiej. Już w pierwszych swych pracach, drukowanych w przeglądzie literackim „Genç Kalemler” ostro walczy o oczyszczenie języka z obcych zapożyczeń, wzywa do reformy języka, do wyzbycia się sztuczności, do powrotu do prostoty i świeżości języka ludu.

Nowele jego są pisane językiem prostym, żywym, bardzo obrazowo, a styl jego charakteryzuje dyskretna ironia i inteligentna złośliwość.

Omer Seyfettin był typowym przedstawicielem literatury tureckiej na początku XX wieku. Ironia, jaką stosuje on do panującego ustroju i do otaczających stosunków, nosi cechy burżuazyjnego realizmu krytycznego, ale obok tego wiele utworów Omara Seyfettina nie jest pozbawionych cech dekadentyzmu czy naturalizmu. W swojej epoce literatura, której wyrazem była twórczość Omara Seyfettina miała w stosunku do ówczesnej feudalnej, sultańskiej Turcji charakter postępowy. Dziś znaczenie Omara Seyfettina jest wyłącznie historyczne. Miejsce literatury burżuazyjnej zajęła przodująca, postępową literaturą proletariacką.



## Wstęp

Drodzy czytelnicy, przysięgam wam na Boga, że opowiadania tego nie wymyśliłem. Czasy minione... Czy wyczytałem to w jakiejś starej książce historycznej, czy w zbiorze współczesnych nowel, czy też w jakiejś obszernej powieści... Nie pamiętam! W pamięci mi utkwiły jedynie motywy działania „jednostki w społeczeństwie”. Działanie to czasami do tego stopnia jest ofiarą, że nie ma w historii przykładu, który by można przedstawić w sposób podobnie doskonały. Oto dzisiaj, kiedy rodzą się coraz nowe państwa, coraz nowe społeczeństwa, zabieram się do napisania o tych kilku przeczytanych strofach w nadziei, że „będzie to korzystne”.

Po przeczytaniu, jeżeli nawet nie wyciągnięcie z opowiadania morału, w przekonaniu, że jest to „sztuka dla sztuki” — to się ubawicie. Drodzy moi czytelnicy! Czyż humor nie jest w gruncie rzeczy pewnego rodzaju wartością?

## Rozdział pierwszy

W dawnych czasach... W pewnym bardzo despotycznym kraju Europy, gdzie na każde dziesięć kilometrów kwadratowych przypadało dwu władców, był bardzo stary król. Jak święty obrazek z wosku, z białą brodą opadającą, kiedy chodził, aż do stóp, o gęstych, białych włosach, zwisających lokami pod brylantową koroną, żył zawsze milczący i rządził państwem sprawiedliwie, miłosiernie i wielkodusznie. Ponieważ ten duch pokoju ojczyzny nie lubił wojen, całymi latami nie wyruszał na wyprawę. Latem na polach, w sadach, ogrodach tłumy ludzi kochających się wzajemnie, stada krów, osłów, psów, kaczek, kur, gęsi; zimą na placach, w domach, w klubach, dźwięki instrumentów, okrzyki miłości, rozbrzmiewające aż do rana, nie ustające ani na chwilę. Ale nie było możliwe zachować na długo szczęście i spokój. Nad krajem zawisło ciężkie, gorzkie nieszczęście. Cały naród, starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety i wszystkie dzieci nagle, wśród najbardziej kipiących uciech, przerwali zabawę, zbledli i zaczęli płakać i szlochać. Wśród szmeru ogólnych łez, przypominających gorący wodospad, słychać było jęk:

— Ach, dlaczego my nie mamy następcy tronu!

## Rozdział drugi

Stary król siedział w pałacu w sali przyjęć na złotym tronie o nogach z brązu. Marszałek dworu królewskiego pochyliwszy się do ziemi zameldował, że prezes ministrów prosi o audjencję. Polityka państwa była na tego rodzaju drodze, że... król widywał prezesa ministrów zaledwie raz, dwa razy do roku w czasie świąt czy spacerów. Zdziwił się.

— Ano niech przyjdzie — powiedział.



Po chwili wszedł człowiek stary i zgarbiony. Był to największy dyplomata Europy. Nawet władcy Azji przysyłali do niego pisma, korzystali z jego rad. Podszedł do tronu. Przyklęknął. Ucałował żółtą rękę władcy, wyciągającą się do niego spod białej brody:

— Wasza Królewska Mość — powiedział. — Niepokoję Was z powodu nadzwyczajnej sprawy.

— Jakiej? Czyżby możliwość jakiejś wojny?

— Nie.

— Stosunki z naszymi sąsiadami wspaniałe. Wewnątrz dzięki bogactwu spokój i szczęście. Cóż może być poza tym ważnego?

— Nadzwyczaj ważna sprawa.

— Więc mów, o co chodzi?

Z zaczerwienionym oczu starego premiera lunęły strumieniem łzy.

— Wasza Królewska Mość. Dzisiaj wkroczyliście w dziewięćdziesiąty ósmy rok życia. Śmierć jest nieszczęściem spadającym niespodziewanie. Któregoś dnia przedwcześnie zabierze Was, sprawiedliwego władcę. Nie mamy następcy tronu. Gdy wasza dusza, Boże broń, odleci do niebios, w jakim stanie pozostaną Wasi biedni poddani? Ojczyznę zaatakują i podzielą nasi sąsiedzi. Kraj nasz, żyjący w pokoju i bezpieczeństwie tyle już wieków dzięki Waszemu rodowi, będzie zniszczony. Nasz naród, nie znający nic poza śmiechem, i zadowoleniem, dostanie się pod rozkazy dzikich dowódców. Zostanie pognany na wojny. Nasze ulice zapełnią się wdowami, sierotami, matkami, które potraciły swe dzieci.

Premier to płakał, to głosem drgającym ze wzruszenia jak trel słowika przedstawiał swe bóle. Gdy mówił, stary król rozmyślał, jak to po jego śmierci zostanie podzielony szczęśliwy kraj, jak jego kochani poddani staną się żołnierzami armii sąsiednich państw. Przerwał i zapytał:

— Jak możemy zapobiec tym nieszczęściom?

— Bardzo łatwo, Wasza Królewska Mość.

— Jak?

— Niech kochana nasza królowa jak najprędzej wyda na świat następcę tronu.

— Ależ jak? Teraz już...

Premier, który był największym w tym czasie dyplomata Europy, powolutku się wyprostował. Rękami rozdzielił opadające falami włosy królowa, znalazł ucho, przybliżył swoje usta. Tego, co powiedział, nikt prócz króla i Allaha nie słyszał.

— Ależ...

— Nie ma żadnego „ale”, Wasza Królewska Mość. Dla dobra kraju.

— Znasz królową. To jest anioł. Jak zrobić jej taką propozycję?

— Tak, nasza królowa to anioł, Wasza Królewska Mość. Od aniołów jaśniejsza, czystsza, bardziej niebiańska. Ale przyszłość naszego Świętego Kraju tylko z tym jest związana. Dobro kraju tego dzisiaj wymaga...



Stary król myśli, wielki dyplomata mówi i wyjaśnia, jak matki, bracia, dzieci władców zachodnich dla dobra kraju oddawali się nawet na ofiarę podcięcia własnego gardła, jak barany. Teraz życie, szczęście, wieczność kraju i narodu jest związana z ofiarą królowej. Albo...

— Dobrze — rzekł król. — Wyjaśnię jej to. Ale... Nie, to niemożliwe... Nie przyjmie. Nawet gdyby wieczność świata od tego zależała, także nie przyjmie. To anioł.

— Tak, to anioł, Wasza Królewska Mość. Dlatego, że jest aniołem, przyjmie, uratuje kraj i naród od zguby.

— Dobrze...

Premier ucałował ręce króla. Już wychodził, gdy król znowu zapytał:

— Ale z kim?

Dyplomata przestał płakać. Rękawem ozdobionym różowymi koronkami wytarł mokrą, białą brodę i odpowiedział:

— W pałacu Waszym tyle macie sług i zaufanych generałów, książąt, hrabiów. Królowa wyrazi życzenie, jakiego służyć...

### Rozdział trzeci

Królowa, wyciągnięta na miękkiej, kanapce w malutkim, przytulnym pokoju sypialnym, którego ściany, sufit i podłogi upiękzone były liliami i złotymi wzorami, poddawała się masażowi bioder. Ktoś zapukał.

— Proszę wejść.

— ...

Dziewczyna robiąca masaż znikła. Królowa wyprostowała się. Była na pół naga. Szata z tiulu, która zapinała się na przodzie, w tej chwili rozwiązana, podobna była do skrzydeł anioła. Królowa była zaskoczona tak nieoczekiwanym przyjściem bardzo kochanego męża. Powiedziała.

— Bądź laskaw.

Była niewinna, młodziutka, w wieku zaledwie 17 i pół lat, rumiana, biała i czysta. Król usiadł na brzegu kanapy. Służebna wyszła.

— Kochanie, czy tak nie przeziębiesz? Jest bardzo chłodno.

— Nie, Wasza Królewska Mość. Jest mi nawet gorąco.

Przez kilka minut gwarzyli o tym, o owym, o pogodzie, o wodzie. Malutka królowa spostrzegła coś niezwykłego w swoim mężu. Ten starzec, który dawniej nie mówił żadnych dowcipów, teraz żartował. „Czyżby lekarze wynaleźli nowe jakieś lekarstwo?” myślała. Ale w końcu, kiedy rozmowa zeszała na temat polityki, zrozumiała, że się omyliła w przypuszczeniach. Król długo opowiadał o świętości swego rodu i o roli, jaką odegrał on w historii państwa. Kiedy on umrze, a w tej chwili jest to już popołudnie pielgrzymki, ten kraj szczęśliwie żyjący ulegnie grabieży sąsiadów, ukochani poddani staną się żołnierzami wojsk krajów sąsiednich. Kiedy to mówił, z oczu jego lały się łzy.



— Szczęście i spokój państwa w twoich rękach... — powiedział. Królowa się zdumiała.

— Jakże, Wasza Królewska Mość?

— Jeśli wkrótce urodzisz następcę tronu, mój ród nie zginie.

— Ależ to w Waszych...

— Nie, w twoich rękach.

— Ależ, to...

Król zerwał się. Podniósł drżącymi rękami obfite, rozpuszczone, jasno-kasztanowe włosy królowej. Zbliżył się do malutkiego różowego uszka, jakby chcąc je pocałować. Powtórzył cichutko to, co szeptał do jego ucha premier. Tego, co powiedział, nikt prócz królowej i Allaha nie słyszał.

— Ach, to niemożliwe, niemożliwe!...

— Ale...

— Zabij mnie! Weź inną księżniczkę!

— Ale...

— Nie, to niemożliwe, nie mogę tego zrobić. Wolę umrzeć.

Niewinna królowa skąpała się od stóp do głowy we własnych łzach. Tak gorzko płakała, że... mokra od łez szata przylgnęła zupełnie do jej różowego ciała i stała się niewidoczna.

Stary król ją uspokajał i bez końca tłumaczył, że w jej ofierze dla dobra państwa tkwi wielkość. W końcu łzy w oczach wyschły, królowa zgodziła się na ofiarę, której od niej żądano. Gładząc brylantową koronę męża błagającego na klęczkach powiedziała:

— Proszę wstać. Dla państwa — każda ofiara...

Wyprostowała się, pobiegła, przyniosła z gotowalni ręcznik i wycierając zalaną łzami twarz zapytała:

— Ale kogo wyznaczycie na służbę dla mnie?

— Kogokolwiek zechcesz z pałacu, mój aniele...

— Kogo?

— Na przykład księżę Hebebizika... Ogromnie skryty.

— Skryty, ale z jego usług nie będzie żadnej korzyści.

— Sekretarz stanu hrabia Szodarefi.

— Z tego także.

— Markiz de Brand.

— Proszę dać spokój, z nim także na próżno, Wasza Wysokość.

— A wicehrabia de Loryan...

— Nie, jego usługi także pójdą na marne.

Król wyliczył ze czterdziestu arystokratów spośród wpływowych ludzi ze swego otoczenia. Królowa ciągle odmawiała mówiąc, że to „na próżno, z jego usług nie będzie korzyści”.

Wreszcie ten cieszący się szacunkiem król zapytał:

— Ależ skąd o tym wiesz, kochanie?.



Królowa, zakrywając twarz niebieskim jedwabnym ręcznikiem, którym osuszała niewinne łzy, przed chwilą zalewające jej twarz, odrzekła:

— Niestety! Już dwa lata poddawałam ich wszystkim próbom.

— ...

Król wpatrywał się w tego białego anioła, w to cudowne ciało, które w ofierze dla dobra państwa oddawało się nie jeden raz, ale więcej niż czterdzieści razy bez jego wiedzy. Tak, ona jeszcze wcześniej odczuła święty niepokój premiera i nie traciła czasu. Trwał w słodkiej ekstazie zadowolenia i zachwytu.

Drgnął:

— W takim razie, kochanie, damy do twej służby kogoś z zewnątrz.

— Nie, jeszcze z pałacu.

Król nie mógł już przypomnieć nikogo spośród dostojników, czyjego imienia nie wyliczył.

— Doskonale. Ale kto?

— Ty powiedz.

— Nie, ty!

— Sierżant Fernani w rocie gwardii.

— Co?

— Tak, jego chcę.

— Olbrzym Fernani?

— Tak.

— Ależ najdroższa, on nie zmieści się w tym pokoju, on ma wzrostu dwa i pół metra. On nigdzie się nie zmieści. Przecież to jest widoczne.

— Niech będzie. Niech będzie.

— Dobrze — rzekł znowu stary król.

### Z a k o ń c z e n i e

Po dziewięciu miesiącach, dziesięciu dniach, siedmiu godzinach niewinna królowa urodziła. I to nie jednego... ale dwóch księżąt na raz. Nie było więc końca szczęściu ludu. Te bliźniacze pączki rodu były tak kochane, że... nie można było żadnego z nich wyróżnić. Nie wiadomo, który z nich był duży, który mały... Obaj też posiadali prawa następców w tym samym stopniu. Po śmierci króla jeden z nich został władcą wschodniej części małego państwa, drugi zachodniej części. Ci dwaj bracia-władcy nie mogli żyć w zgodzie ze sobą. Całe życie przepędzali w walkach. Ludność, żyjąca w spokoju w czasach ich dziadów i ojców, pod ich opieką podzieliła się na dwa obozy, które walczyły ze sobą z zaciekleścią przewyższającą zaciekleść wszystkich walk w historii Europy, i zesłała do poziomu ludzi pierwotnych.



AKUTAGAWA RYŪNOSUKE

(1892 — 1927)

## P A J Ę C Z A N I C

(Kumo-no-ito)

Wybitny przedstawiciel prądu neorealistycznego w literaturze japońskiej. Szkoła neorealistyczna stanowi pomost między kierunkiem neoidealistycznym a prądem proletariackim w literaturze japońskiej. Do najwybitniejszych przedstawicieli tego prądu należą obok niego — Kikuchi Kan, Satomi Ton, Shiga Naoya.

Akutagawa brał żywy udział we współczesnym życiu literackim. Współpracował z czasopismami kulturalnymi i pisarzami swej epoki. Znał literaturę europejską (miał nb. wykształcenie anglistyczne); do ulubionych jego autorów europejskich należeli Gogol i France, którzy wywarli znaczny wpływ na jego twórczość; przekładał na język japoński szereg dzieł z języka rosyjskiego. Do materiału opracowywanego miał podejście historyczne, podbudowane realizmem. Wraz z całą grupą pisarzy, z którą łączyło go najwięcej sympatii, nie uznawał w zasadzie społecznego znaczenia literatury, większą wagę przywiązując do formalnych walorów sztuki pisarskiej, toteż utwory jego są pisane ze starannością cyzellerską. W pracach swych dobierał on specjalnie szlachetnych, niebanalnych wyrażań, które jednak harmonizują z treścią i są zupełnie jasne i zrozumiałe dla czytelnika. Szczególnie celuje on w utworach krótkich. Z uwagi na wyżej wymienione cechy kunsztu pisarskiego Akutagawa Ryūnosuke uchodzi na ogół za nieprześcignionego mistrza noweli japońskiej.

Niezależnie od zasadniczego nastawienia formalistycznego Akutagawa żywo reagował na niektóre ujemne cechy życia w epoce kapitalizmu, który w tym czasie święcił w Japonii swe triumfy. Pisarz krytykował je wnikliwie i dojmująco z chorobliwą niemal wrażliwością występując przeciw mieszczańskiej moralności burżuazji, choć czynił to raczej z pozycji sceptycyzmu i estetyki, przy czym ujmował życie tylko w małych, zamkniętych wycinkach, co mu wyraźnie przesłaniało horyzonty. Obracał się w tematyce współczesnej i fantastycznej, głównie jednak historycznej, choć niewątpliwie nie było to u niego ucieczką od rzeczywistości, lecz raczej wygodną formą ujęcia nowych problemów, gdyż trudno byłoby w surowym reżimie ówczesnym zbyt bezpośrednio krytykować ciemne strony życia burżuazji.

Napisał on około 200 nowel; zbiór jego utworów obejmuje 8 tomów. Do bardziej znanych należą — *Kappa* (Topielica), *Un* (Los), *Hina* (Lalki), *Rashōmon* (nazwa własna), *Saigo Takamori* (nazwa własna). Oryginalność ujęcia tematów budziła duże zainteresowanie czytelników już w roku 1916, w którym ukazała się jego nowela *Hana* (Nos). Skończył samobójstwem w wieku lat 35. 24 lipca 1927.

Czuły na to wszystko, co się dokoła niego działo, nie potrafił jednak odnaleźć w nurcie współczesności tego, co wprawdzie słabo jeszcze pulsowało wówczas pod powierzchnią życia, ale co w przyszłości miało odegrać w Japonii rolę zasadniczą — nie potrafił dostrzec walki proletariatu o jego należyte prawa i w walce tej wziąć czynnego udziału, tak jak uczynili to współcześni i niemal współcześni mu: Kobayashi Takiji, Hayashi Fusao, Kuroshima Denji, Hayama Kaju, Fujimori Seikichi, Eguchi Kiyoshi, Kataoka Teppei, Nakanishi Inosuke i inni.

Opr. W. Kotański



## I

Posłuchajcie, co się zdarzyło pewnego dnia...

Wielki Budda przechadzał się zwolna samotnie nad brzegiem stawu lotosów w raju. Kwiaty lotosów rozkwitłe pośrodku stawu białeły na jego tle podobne do pereł, a ze złocistych pręcików i słupków ukrytych w ich kielichach ulatywał bezustannie w powietrze niewypowiedzianie przyjemny aromat.

W raju był właśnie poranek.

W pewnej chwili Budda zatrzymał się na skraju owego stawu i poprzez szczeliny między liśćmi lotosów pokrywających powierzchnię wody począł przyglądać się temu, co się w tej właśnie chwili pod powierzchnią działo.

Jak wiadomo, zaraz pod tym rajskim lotosowym stawem leży dno piekła, więc gdy się patrzy na nie przez kryształ wody, widać całkiem wyraźnie — jakbyś patrzył przez lornetę — panoramę Rzeki Trzech Brodów, góry Iglicy i innych piekielnych zakątków.

I wtedy to wzrok Buddy zatrzymał się na postaci pewnego mężczyzny, imieniem Kandata, który tam na dnie piekiel był wmieszany w bezładną masę innych grzeszników.

Ów mąż, zwany Kandata, był strasznym złoczyńcą, który zabijał ludzi, podpalał domy i popełnił wiele innych przestępstw, lecz przy tym wszystkim spełnił też — jak niesie wieść — przynajmniej jeden dobry uczynek. Mówi się więc, że gdy mąż ten przechodził kiedyś przez gęstwinę lasu, ujrzał, jak na skraju ścieżki pełził mały pajaczek. Na jego widok Kandata szybko podniósł nogę i zdawało się, że go już zdepta, lecz nagle się zastanowił:

— Nie, nie zrobię tego. Przecież i ten pająk, chociaż tak mały, ma jakieś życie. Gdybym mu to życie z pustoty zabrał, nic by to właściwie przyjemnego nie było.

Pomyślawszy to, pozostawił pająka całym i zdrowym.

Wielki Budda na widok tego, co się działo w piekle, przypomniał sobie, że jednak ten Kandata pozostawił pająka przy życiu. I w nagrodę za to, że zrobił on coś, choćby tyle dobrego, postanowił — o ile to tylko się uda — wyratować go z piekła. Na szczęście, gdy rozejrzał się na strony, dojrzał na liściu lotosu, o barwie przypominającej nefryt, rajskiego pająka, jak rozpinał swą cudną srebrzystą nić. Budda ujął tę nić pajęczą ostrożnie swą ręką i znalazłszy nieco wolnego miejsca między białymi jak perły lotosami, spuścił ją hen, w dół, aż na samo dno piekła.

## II

Tu na dnie piekła był staw pełen krwi, a w nim razem z innymi grzesznikami pływał i tonął co chwila Kandata.

Gdziekolwiek spojrzeć, było tu straszliwie ciemno i tylko czasami



zdawało się, że z tych ciemności coś się jak gdyby wynurza: to żarzyła się igła strasznej góry Iglicy; i nie da się wprost opisać, jak wielkie przygnębienie wywiera jej widok. Poza tym dookoła panowała głucha cisza niczym w grobie i tylko od czasu do czasu dawały się słyszeć słabiotkie westchnienia, wydawane przez grzeszników. To ludzie, którzy tu w otchłań spadli, wyczerpani do cna różnymi torturami piekła, nie mają już nawet siły wydać z siebie jęku.

Toteż i Kandata, tak wielki przecież złoczyńca, tonąc razem z innymi w krwi wypełniającej piekielne jezioro, miotał się tu niczym żaba walcząca ze śmiercią.

I słuchajcie, co się teraz stało! Kandata podniósł przypadkiem głowę i spojrzął w przestrzeń rozciągającą się nad jeziorem krwi. I nie mógł uwierzyć własnym oczom, bo oto gdzieś z bardzo wysoka, poprzez nie zakłócone żadnym dźwiękiem ciemności opuszczała się lekko w dół, wprost nad nim, srebrzysta nić pajęczka, połyskując tak cieniuteńką smużką, iż budziło to obawę, że utrzyma się ona w powietrzu zaledwie przez chwilę.

Kandata dostrzegłszy ją, mimo woli zaklaskał z radości w dłonie. Bez wątpienia, jeśli nici tej się uchwyci, to gdziekolwiek się po niej wydrapie, w każdym razie wymknie się z piekła. A jeśli dobrze pójdzie, to wejście może nawet do samego raj. Wtedy nie będzie już ganiany na górę Iglicę i nie będzie tonąc w jeziorze krwi.

Pomyślawszy to Kandata szybko i silnie uchwycił w obie dłonie tę pajęczą nić i począł co sił wciągać się systematycznie pod górę. A że z natury rzeczy jest to umiejętność dobrze znana wszystkim przestępcom, był do niej od dawien dawna przyzwyczajony.

Ponieważ jednak odległość między piekłem a rajem wynosi wiele tysięcy mil, choć bardzo się starał, nie tak łatwo mu było wydostać się do góry. I nawet Kandata, gdy dłuższy czas już się wdrapywał, wreszcie się zmęczył, i nie mógł dalej wspinać się ku górze.

I wtedy, ponieważ nie miał nic lepszego do roboty, uwiesiwszy się dla krótkiego choćby odpoczynku pośrodku nitki, spojrzął hen, w dół, pod siebie... Oto dzięki jego usilnemu wspinaniu się po nici, jezioro krwi, w którym do niedawna jeszcze sam się znajdował, nie wiadomo kiedy znikło na dnie ciemności, a owa niepewnie jaśniejąca, straszna góra Iglica również znalazła się pod jego stopami. Jeśli w tym tempie będzie się nadal wspinać, to może wbrew oczekiwaniom nawet i łatwo wydostanie się z piekła. Kandata z obu rękami omotanymi pajęczą nicią roześmiał się ucieszony tym, że doszedł już do tego miejsca, i wykrzyknął głosem, jakiego dotąd nigdy jeszcze z siebie nie wydał:

— Udało mi się! Udało!

Ale nagle — czy go wzrok czasami nie myli? — dostrzegł, że na dolnym końcu pajęczej nici, tą samą drogą, którą on się dotychczas wspinał,



tak samo wytrwale wdrapuje się ku górze nie kończący się rząd grzeszników, podobny do procesji mrówek.

Kandata, gdy to zobaczył, przez chwilę jak osłupiały poruszał tylko oczyma i trwał z ustami szeroko otwartymi — takie to było dla niego nieoczekiwane i straszne. Jakże ta cienka nić pajęcza, która zdawało się pęknie pod ciężarem jego samego, będzie mogła wytrzymać ciężar tylu ludzi? Jeśli przypadkiem pęknie gdzieś pośrodku, na pewno i on sam, wyróżniający się spośród innych, wdrapał się bowiem aż do tego miejsca, spadnie z powrotem na łeb na szyję do piekła. Gdyby taki wypadek nastąpił, byłoby to coś okropnego...

A gdy tak rzecz rozważał, grzesznicy całymi setkami i tysiącami wypełzali w nieprzeliczonych ilościach z dna czarnego stawu krwi i wdrapywali się pracowicie jeden za drugim po połyskującej, cieniutkiej nici pajęczej. Niedługo, żeby nie wiem co, nić na pewno pęknie gdzieś pośrodku na dwoje i opadnie. Przeto Kandata rzucił głośny okrzyk:

— Hej, grzesznicy, ta pajęczyna należy przecież do mnie! Kto wam właściwie pozwolił wchodzić po niej na górę? Złaźcie, dalej!

I wtedy to się właśnie stało... Nić pajęcza, która dotąd wszystko wytrzymywała, nagle z trzaskiem urwała się w miejscu, gdzie był uwieszony Kandata. Teraz już i Kandata nie dał sobie rady. Zanim też zdołał wydać okrzyk przerażenia, już koziołkował raz po raz niby bąk w powietrzu i w jednej niemal chwili spadł na łeb na szyję na dno ciemności. Po tym wszystkim tylko nić rajskiego pająka zwisała urwana i połyskiwała cienką smugą gdzieś pośrodku przestrzeni nieba, na którym nie ma księżycy ni gwiazd.

### III

Wielki Budda, stojąc nad brzegiem stawu lotosów w raju, obserwował to wszystko od początku do końca z całą uwagą, a gdy wreszcie Kandata poszedł jak kamień na dno jeziora krwi, ze zboląłym wyrazem twarzy począł w dalszym ciągu spokojnie się przechadzać.

Z oczu Wielkiego Buddy można było wyczytać, że uważa on za politowania godne i to, że ów Kandata przez wrodzone okrucieństwo chciał sam tylko z piekła się wydostać, i to, że spadł z powrotem do piekła ponosząc za swe okrucieństwo odpowiednią karę.

Ale lotosy ze stawu lotosowego w raju bynajmniej się tą sprawą nie przejęły. Ich białe jako perły kwiaty skłaniały miękko swe kielichy ku boskim stopom Wielkiego Buddy. Z wnętrza zaś kielichów, ze złocistych pręcików i słupków rozchodził się bezustannie naokół ku adoracji jego boskiej osoby, niewypowiedzianie miły aromat.

W raju zbliżało się już południe.

Przełożył z japońskiego

W. Kotański